

Islandia – Całkiem sporo niczego

Gdzie – Islandia

Kiedy – wrzesień 2014

Kto – Asia & Paweł & Dzik & Aga

Siedzimy na pniach ściętych drzew, czekając na resztę uczestników wycieczki. Schodzimy z Rudawca do Domu Majów w Bielicach, gdzie nocujemy w ramach zdobywania kolejnych z 28 szczytów Korony Gór Polski wraz z osobami niepełnosprawnymi. Projekt nosi nazwę Razem na szczyty, a my właśnie umawiamy się, żeby pojechać razem na Islandię – Agnieszka, Jarek, Paweł i ja. Najwyższy szczyt wyspy Hvannadalshnúkur 2119 m n.p.m. czeka na dołączenie go do gór z innej Korony – Korony Europy.

Tanie bilety z Londynu do Reykjavíku i z powrotem warunkują termin wycieczki 1-11 września. Udaje się też kupić bilety powrotne z Londynu do Wrocławia, ale z Polski do Anglii nic w tym terminie i na naszą kieszeń na szczęście nie ma, a szukamy aż do ostatnich dni przed wyjazdem. „Na szczęście”, ponieważ przeżylibyśmy o jedną przygodę mniej. Pada bowiem decyzja, że z braku biletów lotniczych wyjeżdżamy z Polski kilka dni przed 1 września i próbujemy dostać się do Londynu Luton na stopa. W tym miejscu powinno dać się kliknąć w „Przygoda Nr 1” i przeczytać zupełnie osobną relację z tych kilku jakże emocjonujących dni autostopowania. Nie da się, więc uchylę tylko rąbka tajemnicy – jechaliśmy parami; pierwsi dotarli Aga z Dzikim, właściwie dzień przed wylotem i relaksowali się w Luton, my natomiast, jak przystało na statystycznych Polaków, dotarliśmy właściwie na ostatnią chwilę. [dopisek Dzika – dla mnie i Agi była to pierwsza autostopowa przygoda i niech za komentarz wystarczy to, że po dotarciu na lotnisko

stwierdziliśmy, że moglibyśmy już wracać, tyle było wrażeń. A dlaczego my cały dzień leżeliśmy na lotniskowym trawniku a nasi kompani walczyli o każde 10 km? Otóż jest niezwykle ważne w jaki dzień się podróżuje. Jeżeli traficie na dzień kiedy ciężarówki nie kursują to przestój gwarantowany. Zupełnym przypadkiem nam (żółtodziobom!) się udało. Paweł i Asia wyjechali nieco później i załapali się na pauzę, która kosztowała ich nieco stresu ale cóż to znaczy dziś? Przygoda!]

Z Wrocławia szczęśliwi wyjechaliśmy niemal natychmiast – zabrał nas bus z czterema wesołymi nurkami, w Niemczech ugościł kuzyn, a Francja zatrzymała na ponad dobę (!). Gdy tam właśnie, zaledwie 2,5 h jazdy od kanału La Manche, na pokonanie którego jeszcze nie mieliśmy pomysłu, kolejna godzina parkingowego błagania na klęczkach, leżąc i w pokłonach utwierdzała nas tylko w przekonaniu, że choć wszyscy jadą dokładnie w naszym kierunku, to nie mają miejsca w autach nawet na wciśnięcie szpilki, myśleliśmy, że jak już jakimś cudem nadjedzie puste auto gotowe zabrać nas i nasze dwa duże plecaki, to dalej będzie tylko łatwiej. Dobrze, że człowiek to istota wierząca, bo chociaż nic na to nie wskazywało, to właśnie ufność w dotarcie do Luton na czas nie pozwoliła nam poddać się przychodzącym do głowy pomysłom, że już jest na tyle późno, że może lepiej zmienić wakacyjne plany na Paryż albo Zamki nad Loarą... . Dotarliśmy do Calais (bardzo) kombinowanymi środkami transportu, a na miejscu spacerkiem ok 10 km dotarliśmy do terminali odpraw aut osobowych, gdzie przeganiani jak emigranci nie mieliśmy szans na „stopa”. Błądząc, znaleźliśmy terminal odpraw aut ciężarowych, gdzie od razu wzbudziliśmy zainteresowanie strażników i celników jako piechurzy przemykający wśród tirów. Była niedziela ok 20:00 (wylot z Luton nad ranem w poniedziałek), kolorowy zachód słońca, a my byliśmy ciągle we Francji i do tego na celowniku kilku mężczyzn z psami pokazujących nas sobie nawzajem palcami. Z tego etapu wycieczki nie mamy zdjęć, ale pozostał wyraźny zapis przygody w pamięci □ Przed 22:00 przeprawialiśmy się już przez Kanał La Manche z dwoma Polakami, którzy

właściwie zajechali nam drogę na parkingu, a my ubłagaliśmy ich, żeby nas zabrali. Potem jeszcze jeden Polak, który „przypadkiem” jechał trasą 4 km od lotniska w Luton (w życiu nie ma przypadków) i lekko po północy witaliśmy się z Dzikami na lotnisku. Toaleta, krótka drzemka i pobudka o 5:00, żeby się przepakować i zdążyć odprawić na samolot. Gdybyśmy po tych trudach dotarcia zaspali na samym lotnisku.... ☐

Reykjavik przywitał nas wiatrem, który był zapowiedzią islandzkiej wrześniowej pogody. Na lotnisku czekał Adam, którego, nawet gdyby nie trzymał kartki z nazwiskiem Pawła, poznalibyśmy, że to „swój” – wyszedł po nas prosto jak stał z warsztatu samochodowego. Osobom przesądnym nasze wypożyczone auto (pozdrawiamy chłopaków z polskiej wypożyczalni aut) od początku dawałoby znaki swojej awaryjności, ale na nas opadająca szyba pasażera nie zrobiła wrażenia na długo. Uwagę przykuł wyjątkowy, niespotykany dotąd wulkaniczny krajobraz, który zmieniał się co kilkadziesiąt kilometrów. Piękne wodospady, pola czarnych piasków wulkanicznych (całkiem sporo było tego niczego), grube poduchy mchów, a w końcu potężne lodowce i góry. I gorące wody!, które znaleźliśmy już pierwszego dnia wieczorem podczas spaceru, a już o poranku dnia drugiego widziały nas w strojach kąpielowych. Tam też, w mini gejzerkach, ugotowaliśmy jajka i ziemniaki na śniadanie hehe. Dzień, wybrany przez nas na zdobycie Hvanna, nie był trafiony pod względem pogody. Najwyższy szczyt na lodowcu zdobyliśmy poznając zjawisko white-out'u, a naprawdę zobaczyliśmy go dopiero nazajutrz z daleka, już w pięknym słońcu.

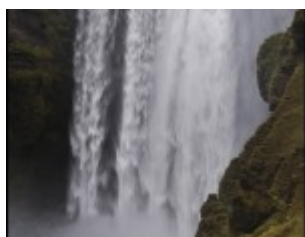
Co jeszcze na nas czekało? Acha, foki na lodowej lagunie, owce, duuużo owiec (nazwanych przez Pawła swetrami), wschody słońca nad oceanem, tęcze, wodospady, wodospady i jeszcze raz gorące źródła. No i jeszcze codzienna gimnastyka poranna, bramy na drogach pośrodku interioru, szutrowy odcinek autostrady, na którym zrobiliśmy sobie piknik, bo nic nią nie jechało, gejzery, gorące błoto pod nogami, kratery

wulkaniczne, niebieski hydrant i znaki drogowe pośrodku niczego. Hagrid – przygoda, ale bez szczegółów hehe i cudowne wspomnienie nocnych zjawisk nad wodospadem Godafoss – jednoczesny widok łuny z wulkanu Bardarbunga, zorzy polarnej i spadających gwiazd, w szumie wodospadu i ze wspaniałym towarzystwem obok. Wieloryba z ryżem na kuchence benzynowej w namiocie nie wspomnę tak samo jak islandzkich odcinków kulinarnych „Gotuj z Kudłaczem”. To wszystko w interiorze – centrum wyspy, które pokonać można jedynie sprawnym samochodem terenowym z napędem na cztery koła. No właśnie, sprawnym, reszta się zgadzała. A co jak jest niesprawny? Sytuacja jest wtedy nieco inna niż w pozostałych krajach europejskich. Tu nie wystarczy wyjść z auta, poczekać chwilę i machnąć ręką na pierwszy nadjeżdżający samochód, żeby poprosić o pomoc. Chociaż, czemu nie, wyjść można, ale czas oczekiwania wydłuża się z chwil do godzin niezależnie od częstotliwości machania ręką. Co więc robić? Dobra książka, jedzonko co dwie godziny (to jest plus sytuacji, można zachować regularność posiłków, ważne dla Agi hehe), drzemka, rozmowy, rozmowy, żarty. W osiem godzin od zgłoszenia ma szansę dotrzeć na pomoc ekipa Polaków z wypożyczalni aut (osiem, jak jesteście „blisko”). Hołowanie do pierwszej stacji benzynowej w dobrych humorach i ze śpiewem na ustach (Kubuś Puchatek i jego „Kilku kumpli” – oby nagrania z hołowania nie dostały się w niepowołane ręce!) i już można iść spać. Rano, po śniadaniu, zmiana aut – z bordowego na niebieskie – (porządna wypożyczalnia) i kolorowe góry z gorrrącą rzeką są w zasięgu stroju kąpielowego!!! Landmannalaugar na kilka godzin spaceru i gorącej kąpieli był nasz. Potem jeszcze raz wodospady, gejzery, owce, ostatni nocleg i powrót do domu już bez spektakularnych przygód. Wszystko było nam dane zobaczyć, oprócz maskonurów, więc trzeba kiedyś wrócić na wyspę, ale w sierpniu. A wisienką na torcie najlepszej wycieczki w moim życiu był pewien biznesmen w metalicznym garniturze i ciemnych okularach, który czekał na lotnisku we Wrocławiu na ekipę ICELAND EXPEDITION, co wyświetlał na ekranie laptopa hehe.

Islandia jest miejscem na Ziemi, do którego będę ciągle wracać, a właściwie mogłabym z niego nie wracać, natomiast najlepszą wycieczkę mojego życia zawdzięczam ludziom, bo to oni byli tam najważniejsi (nie musiałam przecież wcale lecieć na wyspę drugi rok z rzędu hehe). Tam jest przecież całkiem sporo niczego.

tekst: **Asia Ciołek**

[dopisek Dzika: dziękuję Asi za ten opis i że mogłem przeżyć to raz jeszcze. Uświadomiło mi to, że chcąc opisać wszystkie ciekawe, niezwykłe wręcz wydarzenia i wrażenia ta relacja zajęłaby 10x więcej miejsca. Ale zamiast się rozpisywać zachęcam do udania się tam i przeżycia tego samemu. Jak coś to Asia z chęcią pomoże! ☐]











Inwentaryzacja dorobku

Z okazji 10 lecia mojej działalności górskiej zrobiłem „spis z natury”. Tak, odkąd zobaczyłem swoją pierwszą Górę minęła już (dopiero?) dekada. Wcześniej moje doświadczenie z góorskimi szlakami ograniczało się do kilku, nieco przypadkowych wyjazdów w Sudety i jednego wypadu w Gorce. I tak oto w lipcu 2005-go roku kolega namówił mnie na wyjazd w Dolomity. Decyzja była spontaniczna, niemal z godziny na godzinę. Dlatego też dopiero w dzień wyjazdu odwiedziłem sklep turystyczny i kupiłem kurtkę oraz karabinek (którego to nie wiedziałem nawet do czego będę używał). W ten sam dzień kolega w pracy pożyczył mi uprząż i jeszcze jeden karabinek. Do plecaka spakowałem słoiki z jedzeniem i 4-pak piwa. Po przebojach w podróży i opanowaniem techniki zakładania uprząży wyruszyliśmy na 2 całkiem trudne via ferraty. W bojówkach i wysokich glanach. Bez kasków.

O tym, że byłem w Alpach dowiedziałem się dopiero po powrocie.

Przeżycie tej przygody (bez wątpienia z pewną dozą szczęścia) miało (również niewątpliwie) duży wpływ na kolejne 10 lat mojego życia.

[Lista szczytów, z którymi dotychczas miałem okazję się zmierzyć. Wymieniłem szczyty zagraniczne oraz wszystkie te, które są w Koronie Europy, stąd na liście Śnieżka oraz Rysy.](#)

Islandia

Gdzie – Islandia

Kiedy – wrzesień 2014

Kto – Asia & Paweł & Dzik & Aga



Przygoda zaczęła się już na samym początku. Bajtek podrzuca nas z Malerzowa na stację benzynową na Bielanach Wrocławskich, skąd mamy zamiar przetransportować się na lotnisko za Londynem. Tak – Londynem – nie Łądkiem. Nie mamy pewności co napisać na kartonie. Goerlitz? Berlin? Dresden? Londyn? Luton? Wychodzi brak doświadczenia. Dla nas obojga, tzn. dla mnie i Agi jest to pierwsza podróż autostopem. Na stare lata nam przyszło...

I co? I przez parę godzin nie zatrzymaliśmy nikogo! Mieliśmy szczęście, że za plecami zatrzymał się tir, a kierowca widząc nas sam do nas podszedł. Wyraźnie szukał towarzystwa. W ten sposób wszyscy byli zadowoleni. My wysłuchaliśmy naszych pierwszych historii z życia tirowców, szczęki opadały nam coraz niżej i w takim klimacie dojechaliśmy do granicy z Niemcami. Ponieważ był już wieczór kierowca zaproponował, byśmy spali z nim w kabinie. Przygoda! Spanie na górnej pryczy można porównać do spania we dwójkę w hamaku, ale i tak się wypaliśmy. Może to przez te wspólnie wypite piwka?





Rano na granicy znów szukaliśmy okazji. Dostyć szybko dotarliśmy w okolice Berlina. Tu na stacji krótki skecz: widzę dwóch facetów rozmawiających po niemiecku. No to zagaduję ich w ich języku ale kiwają głowami, że „nic z tego”. Zaledwie parę minut później biegnie Aga. Znalazła transport. Patrzą – Ci sami faceci, ale po polsku już gadają. No i mówię, że przecie przed chwilą ich pytałem i odmówili. A oni na to, że myśleli, że ja Niemiec. A Niemca by nie podwieźli.

Tymi sposobami szybko znaleźliśmy się w okolicy Dortmundu. Tam, po pewnym nieporozumieniu lądujemy na parkingu zwykłym. Z WC wprawdzie, ale bez stacji benzynowej. Niemiec, który nas tu wysadził przeproszał nas, że coś mu się pomieszało i ma nadzieję, że ktoś nas stąd zabierze. Otóż lepiej nie mogliśmy trafić. Jak wysiadłem z jego samochodu tak się przesiadłem do busa z Polski. Jego kierowca to była pierwsza osoba, którą Aga zapytała dokąd jedzie. A ten – że do Calais. Rewelacja. Wieczorem jesteśmy na parkingu dla kierowców. To stąd zaczyna się przeprawa tunelem do Wielkiej Brytanii. Kolejny wieczór w podróży i kolejna impreza. Chłopaki przynoszą kartony piwa – nie liczy się jakość, liczy się MOC! Tej nocy śpimy na pace busa, wraz z towarem. Rano prysznic i w dalszą drogę. Tym razem łapiemy stopa przy wjeździe na punkt kontrolny przed kanałem La Manche. Zatrzymuje się przesympatyczny kierowca. Nie tylko przeprowadza nas na Wyspę ale jeszcze organizuje McDonaldsową ucztę. Nie jesteśmy fanami tego jedzenia ale w takich warunkach? Jedząc ze Szwedzkiego Stołu na podeście kabiny nowiutkiego tira Volvo? Jesteśmy pod wrażeniem jak wszystko gładko nam idzie.

Popołudniu wysiadamy kilka km od lotniska Luton. Mamy wciąż

spory zapas czasu do odlotu samolotu do Islandii. Wchodzimy w najprawdziwsze pole i w krzakach pod płotem rozkładamy namiot. Wieczorem niepokoją nas jeszcze dziwne odgłosy. Okazuje się, że za płotem jest pole golfowe. Jeszcze kilka uderzeń, ostatnie odgłosy i zapada cisza. Idziemy spać.

Rano robię fatalny ruch. Nierozgrzany, nierozciągnięty postanawiam przesunąć plecak w przedsionku namiotu. Coś mi strzela w plecach i leżę bez ruchu. Jedynie jęcząc. W głowie mam wizję: Aga leci do Islandii a ja kilka dni leżę w angielskim szpitalu. Jednak z czasem – z pomocą przyśpieszonej rehabilitacji – zdołam się podnieść. Z bólem dźwigam plecak i ruszamy na ostatni odcinek naszej przygody. Jak to ostatni?! Przecież jeszcze nawet nie dolecieliśmy do Islandii! A jednak tak to wspominam – jako prawdziwą przygodę. Ta podróż, ci ludzie – to przygoda przez duże „P”. Gdy po paru godzinach wchodzimy (tak, wchodzimy, bo szliśmy dwupasmówką, przez ronda, skrzyżowania, światła) na lotnisko to wiemy, że kończy się pewien etap. A zaczyna inny, dzięki naszym przyjaciółom również emocjonujący. Ponieważ Paweł i Asia wyjechali dobę później, do końca nie było wiadomo czy zdążą na samolot. Co jeśli nie? Bałem się o tym myśleć. Na szczęście zjawiają się w nocy, uff!

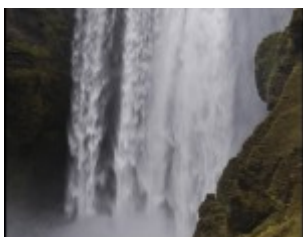
A Islandia?





Islandia to obrazy. Piękne, unikatowe. Jednak ja się skupię na najważniejszym dla mnie celu: najwyższym szczycie tego państwa. Cel został zdobyty, lecz w stylu odbiegającym od tego, który bym sobie wymarzył. Prognozy pogody nie sprawdziły się zupełnie i zamiast tzw. „clear” mieliśmy totalną mgłę. W ten sposób podążaliśmy w całkowitej pustce, z głową wbity w GPS z mapą i zapisaną ścieżką. Tylko dzięki temu elektronicznemu urządzeniu udało nam się osiągnąć wierzchołek. Cel odhaczony. Kolejny szczyt – perełka – do korony. Jednak bez wątpienia z poczuciem niedosytu. Czy kiedyś tam wrócę? Pewnie nie. Pozostanie tak jak jest. Zdobyty szczyt, mimo fatalnych warunków. Bez praktycznie żadnych widoków czy też nowych doświadczeń. No chyba, że mówimy o jedzeniu gotowanych jajek siedząc na czekanach wbitych w lodowiec. To było coś nowego!

tekst: **Dziku**













Obster

Zerkam na historię wpisów. W 2013 miesięczna wyprawa w Pamir i zdobycie 7-tysięcznika. Wcześniej – w lutym – zimowy trening w Alpach, kilka dni w paskudnym mrozie, wejście na Breithorn. Paweł zjeżdża ze szczytu na nartach. My zamierzamy zjechać kolejką ale... Szwajcarzy nas bzyknęli i urwaliśmy może parędziesiąt minut zejścia (za paręset złotych).

Na przełomie października i listopada jedziemy na Piz Linard. Szczyt pięknie się prezentuje z trasy w okolicy miasteczka Lavin. Nie rozczarowaliśmy się. Dawid zdobywa swój pierwszy alpejski szczyt. Przekonuje się też, że nie na każdym wyjeździe porywa nas lawina (patrz relacja z grudniowego wyjazdu w Góry Oetztalskie, która to relacja jeszcze nie powstała).

Na kolejny wyjazd w Alpy czekaliśmy rok. W październiku 2014 wyjeżdżamy na cały tydzień do Austrii. Pogoda nieco psuje plany ale widok ośnieżonych szczytów, dotknięcie nogą i ręką skały już same w sobie powodują wzmożenie apetytu. Już od tamtej pory ustalamy plan na 2015.



fot. Jarosław Kruk

Czerwiec 2015

kto: Grzechu, Tomek, Dzik, Aga

kiedy: VI 2015

gdzie: Hochgall w Grupie Rieserferner (3436 m n.p.m.)

Do Patscher Alm (1685 m n.p.m.) przyjeżdżamy po niecałych 10 godzinach jazdy z Wrocławia. Około godziny 10:30 ruszamy w kierunku schroniska Barmer Hutte (w tym roku otwarte od 16.06). Dojście do schroniska na wysokości 2591 m zajmuje nam 3h. Uznajemy to za całkiem dobry czas. Idziemy przecież z ciężkimi plecakami (namioty, śpiwory). Po krótkim odpoczynku podchodzimy jeszcze nieco wyżej na skały i tu rozbijamy obóz. Jeszcze tego samego dnia idziemy na zwiad i wchodzimy na przełęcz Riepenscharte (2764). To ostatnie chwile ładnej pogody więc cieszymy oczy pięknym widokiem na Dolomity.



20-go czerwca ok. godziny 5:20 ruszamy w kierunku szczytu Hochgall. Do kuluaru prowadzącego na grani idzie dobrze. Jednak przy wejściu w kuluar widoczność spada drastycznie. Zaczyna padać gęsty śnieg. Z każdym krokiem jesteśmy bardziej przekonani, że nie warto ryzykować. Nawet jeżeli uda nam się dojść do grani a potem na szczyt to czy uda nam się bezpiecznie wrócić? Asekuracja nie bardzo wchodzi w grę. Temperatura jest wysoka. Lawina w czerwcu? W tych warunkach to możliwe. Zawracamy.



Około godziny 13:30 tego samego dnia postanawiamy wyruszyć na zdobycie szczytu Barmer Spitze (3200 m n.p.m.). Tak na pocieszenie. Podejście z naszej perspektywy wygląda banalnie. Już na śnieżnym stoku u podnóża widzę się na szczycie. I jak to w takich przypadkach bywa – góra daje lekcję pokory. Śnieżny stok zaczyna być coraz bardziej stromy. Pod sam koniec brniemy w głębokim śniegu grożącym w każdej chwili obsunięciem. Gdy dochodzimy do skał morale w grupie słabnie. Skałny próg straszy kolejnymi trudnościami. Wdrapuję się na niego już praktycznie bez wiary w zdobycie szczytu. Kiedy moje stopy znajdują się nieco powyżej głów towarzyszy już zaczynam żałować, że nie zawróciłem. Od tej pory drapię się do góry jedynie w poszukiwaniu odpowiedniego kamienia by założyć zjazd.



fot. Jarosław Kruk

Tymczasem tu każdy kamień wydaje się być luźny. Odgrzebuje spod śniegu rysy, nierówności, na których będę mógł oprzeć zęby raków. Wciąż posuwam się do góry – choć mentalnie już wracam. Przeklinam to gruzowisko. Wiem, że jeśli wybralibyśmy się tu całą grupą to ciężko byłoby uniknąć zrzucania na siebie kamieni. Ale nareszcie – jest wystająca skała, która nie

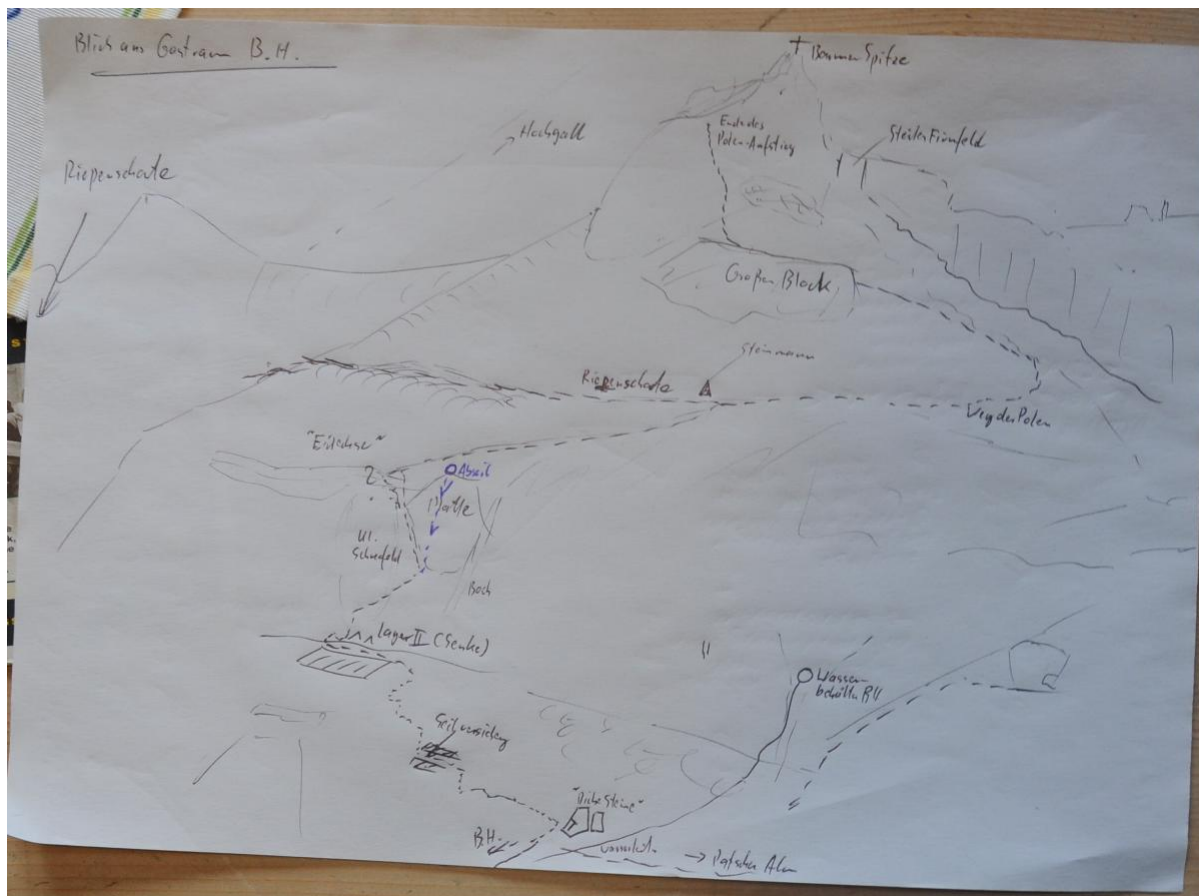
wygląda, jakby miała się poruszyć! Zarzucam pętlę, przeciągam linę przez mailona i zerkam w górę. Szczyt wydaje się być bardzo blisko... Ale mi na dziś wystarczy. Tym bardziej, że pod skałą wciąż czekają na mnie towarzysze. Gdy dojeżdżam do miejsca, gdzie się z nimi rozstałem Aga i Tomek zaczynają schodzić. Grzesiek czeka aż do niego dołączę. Kiedy zjeżdżam z ostatniego progu kończy mi się lina. Rozwiązuję węzeł łączący dwie końcówki i w momencie kiedy czubkami palców dotykam śladów na stoku lina wyjeżdża z przyrządu. Gdybym wcześniej zdecydował się na podejście choćby jeden metr wyżej teraz zabrakłoby mi liny do zjazdu.



Schodzimy do namiotów. Po drodze wykorzystujemy skalną ścianę do treningu i ćwiczymy zjazdy. Pogoda nas jednak nie rozpieszcza. Zmarznięci odpoczywamy w śpiworach. Wieczorem Aga rzuca pytanie: „Idziemy do schroniska na piwo?”. Hmmm... żaden z 3 facetów na to nie wpadł?



Siedząc przed schroniskiem (ku zdziwieniu obsługi) smakujemy trunek i podziwiamy widoki. Nie uważamy, żeby dzień był zmarnowany. Jutro wracamy, nic nie zdobyliśmy, ale najważniejsze jest doświadczenie. I rozważne decyzje! Kontemplacje przerywa pani ze schroniska. Otóż jeden z gości stawia nam ciasto i zaprasza do środka. Wchodzimy, witamy i dowiadujemy się... że nasze wyczyny za dnia były bacznie obserwowane. Ponieważ pogoda była paskudna i goście siedzieli w schronisku ich największą rozrywką było obserwowanie nas przez lornetkę. Mało tego – pan „od ciasta” naszkicował mapę opisującą nasze próby wejścia na Barmer Spitze i zatytułował „Weg der Polen”.



Dopełnieniem przyjemnej atmosfery były postawione przed nami kieliszki. To gospodarz schroniska poczęstował nas bimbrem, zwanym „Obster”. W doskonałych humorach wróciliśmy do namiotów.

Jeszcze przed południem następnego dnia byliśmy przy samochodzie. To był dobry weekend.

Testst: Dziku



fot. Jarosław Kruk



fot. Jarosław Kruk

Schrankogel – 3497 m n.p.m.



Coś mi nie pozwala skupić się na planowaniu górskich wypraw.

To coś miało być zajęciem sporadycznym, wynikającym z konieczności, tymczasem coraz częściej przyjmuje znamiona czegoś więcej. Kto wie, może nawet kolejnej pasji? W odróżnieniu od zdobywania Korony Europy ta pasja byłaby jedną z tych niezwykle popularnych w Polsce, chodzi mianowicie o... domowe REMONTY!

Ale spokojnie, dalej w tekście nie znajdziecie moich opinii o styropianie podłogowym, panelach, farbach i wkładach kominkowych. Postanowiłem się nie zatracać w nowej roli i nie poświęcać się nowemu zajęciu tak intensywnie i bezkompromisowo jak w przypadku Gór. Nie zmienię również adresu strony na dzikudomator.pl.

Dla pewności, żeby sprawdzić czy wciąż czuję „zew”, dałem się namówić kolegom z biura na październikowy wyjazd w Alpy. Tym bardziej, że w pamięci wciąż miałem piękne widoki z pierwszolistopadowego, zeszłorocznego wejścia na Piz Linard. Tak jest, przez rok nie wybraliśmy się w Alpy. Już to niech świadczy, że „coś się dzieje”. Wracając do tematu: postanowiliśmy zrobić

drugie podejście do Piz Berniny (4049 m), tym razem od włoskiej strony.



W rolach głównych: Krzyże, Kup...czyki

Role drugoplanowe: Dzik, Aga, Ola, Rafał, Łukasz

Scenariusz i reżyseria: Natura

Kiedy: październik 2014

Akcja początkowo rozwijała się standardowo: wyjście z pracy, przyjazd do domu, pakowanie, wyjazd z domu, zbieranie uczestników, wjazd na autostradę i przyjazd do Włoch.

I tu się trochę akcja załamała, bo na miejscu deszcz. I to taki wstręt, nie dający szans na wyjście. W poczuciu bezradności położyliśmy się spać. Ola na przednim siedzeniu w aucie. Ja z Agą z podkulonymi nogami w bagażniku, a chłopaki... pod kaplicą, z czego Rafał centralnie pod krzyżem.

I może to właśnie leżenie (pod) krzyżem pomogło, chociaż nietypowo, w śpiworze, bo popołudniu przestaje padać. Natychmiast ruszamy, chcemy dojść do schronu na 2813 m ale szybko się okazuje, że za dnia jest to niewykonalne. Mimo, że narzuciłem sobie mocne tempo, wraz z zapadnięciem zmroku stałem dopiero przy schronisku na wysokości 2662 m. Korzystając z resztek światła rozejrzałem się uważnie i

przywitałem podchodzącą ekipę 3-ma informacjami. 2 złe, 1 dobra. Otóż schronisko jest nieczynne, nie posiada również otwartego żadnego schronu czy choćby jakiegoś pomieszczenia. Informacja dobra: znalazłem zestaw „Zrób sobie własny schron”. I tak, nie zwlekając, zabraliśmy się za budowanie. Użyliśmy do tego celu: palet, pustaków, arkuszy blachy, desek, pręta, zatyczek do uszu oraz tropika od namiotu. I tak, mimo ulewnych deszczy, spędziliśmy bezpiecznie noc dzięki naszej willi rodem z brazylijskiej Faveli.



Rano wspinamy się na przełęcz nad schroniskiem, mijamy kapliczkę (krzyż) i podchodzimy wyżej, do w pełni komfortowego schronu na wysokości 2813 m. Jeszcze tego samego dnia poszliśmy w kierunku szczytu. Weszliśmy na lodowiec i błądząc w gęstej mgle, z wysokości ok. 3100m zawróciliśmy po własnych śladach. Kolejny dzień czekaliśmy w schronie na pogodę. Deszcz zamienił się w mokry śnieg, którego wokół schronu napadało co najmniej 10 cm. W takich momentach zawsze żałujemy, że nie zabraliśmy kart. A tym razem – Rafał wyjmuję talię! No i zaczęło się. Przebieg każdej gry taki sam. Wygrywa Aga a pozostali walczą o drugie miejsce. Wieczorem zasypiamy z nadzieją, że obudzi nas słońce.

Ranek nie pozostawia złudzeń. Gęsta mgła i mokry śnieg przykrywa wszystko, łącznie z przyschroniskową kapliczką (krzyż). Pakujemy manatki i schodzimy na dół. Wczesnym popołudniem staję przy aucie. Rozmawiam z parą Włochów. Chcą jutro wejść na szczyt Piz Bernina. Jednego dnia? Muszą być niezwykle mocni! Ale wkrótce poznaję jeden istotny szczegół ich planu. Jeszcze dziś ma ich wynajęty helikopter wysadzić w schronie na 3609m. Co faktycznie planowali i co zrobili, nie wiem. My rozłożyliśmy mapy i bez sprawdzania prognozy podejmujemy decyzję w ciemno: jedziemy do Austrii – w Alpy Sztubajskie.



Schrankogel

Wieczorem docieramy do miejscowości Gries. Zostawiamy auto i przed 22-gą, z namiotami na plecach docieramy do nieczynnego schroniska na 2135m. Tu okazuje się, że namioty dźwigaliśmy niepotrzebnie. Cekał na nas niezwykle przestronny, czysty, niemal pachnący nowością schron zimowy. Pozostały tylko pociorek, lulu i spać.

Koło 7 rano startujemy. Początkowo zboczem doliny, wygodną ścieżką. Na wysokości około 2600m skręcamy na północ i zaczynamy piąć się ostro w górę. Po dotarciu powyżej 2800m do

małego wypłaszczenia z wielkim kopcem kamieni kierujemy się ostro w górę po stromym, kamiennym stoku. Powyżej 3000m zaczyna się najciekawsza część wejścia – wspinaczka granią. Łatwa, bezpieczna, jednak dodająca smaku, szczególnie chłopakom, dla których jest to pierwszy 3-tysięcznik. Na szczycie mierzącym 3497 m – krzyż.



Celowo pomijam losy drugiej głównej bohaterki, którą była kupka. Bez wątpienia występowała ona jednak najczęściej. W tematach rozmów, w zapowiedziach, w przechwałkach, w statystykach. Przemilczę temat dziesiątek nowych kopczyków na szlaku. Wspomnę jedynie o wyczynie Rafała, który postawił kupczyk na wysokości 3300 metrów oraz o odebraniu mu pierwszego miejsca przez Agę, która niewiele później rzutem na taśmę ułożyła kolejny kupczyk pod samym szczytem. No cóż poradzić, taki był to posrany wyjazd.

Ze szczytu mieliśmy zejść inną granią, jednak nie wyglądała ona zachęcająco. Po przymierzeniu się do niej i zrzuceniu kilku luźnych głazów w przepaść, postanowiliśmy schodzić drogą wejścia. Udało się nam to sprawnie i popołudniu bezpiecznie siedzieliśmy w schronie i graliśmy w karty.



Mutterberger Seespitze

Następnego ranka jeszcze raz podeszliśmy w górę z zamiarem wejścia na wierzchołek Mutterberger Seespitze (3302 m). Niestety atak nasz został odparty. Wspinaczka okazała się znacznie trudniejsza niż dnia poprzedniego. Luźne, duże skały spadały po lekkim trąceniu butem. Lodowiec też nie wyglądał zachęcająco. Stromy i pokryty litym lodem, w którym nie chciały się trzymać raki. Decydujemy się wracać do domu.

Zakończenie: wsiadamy do auta, nad ranem przyjeżdżamy do Polski, idziemy spać. Po paru godzinach pobudka i do pracy. Jakbyśmy dopiero co z biura wyszli. Już siedzimy wpatrzeni w monitory. Ale głowy przewietrzone, umysły świeże, a w nich zapisane kolejne miłe wspomnienia.

Teskst: Dziku



Jura

Krakowsko

—

Częstochowska 12-13.04.2014 r. IV wyjazd kursowy

Źródło:

<http://sgw.wroc.pl/2014/04/jaskinie-jurajskie-kolejny-weekend-kursowy/>

Godzina wyjazdu niemiłosierna – piąta rano niedaleko dworca PKP / PKS. Co to dla mnie oznacza? Pobudka 3:45. Mamo, zmiłuj! Po dotoczeniu się w stanie półprzytomnym (spakowana w piątek wieczorem) na miejsce zbiórki spotykam znajome mi już twarze. Zapakowaliśmy się i w drogę! Przed nami nowe wyzwania – Jura Krakowsko – Częstochowska i jej (nie) zbadane dziury. Do Olsztyna docieramy na 8:10 i o dziwo nie jesteśmy pierwsi! Drugi samochód już czeka. W ciągu kilku kolejnych minut przyjeżdżają następne samochody. Gdy już wszyscy kursanci dotarli, wsiadamy do naszych wehikułów i zmierzamy do celu znanego tylko co poniektórym. Przejeżdżamy kilka kilometrów i robimy desant. Kierowcy wracają do Olsztyna by zostawić auto w bezpiecznym centrum. My czekamy z bagażami na najważniejszy samochód – ten zawierający instruktorów i sprzęt. Po kilku minutach wylegiwania na słońcu przyjeżdżają! Od tego momentu wszystko nabiera tempa. Wyładunek i podział sprzętu, rozdzielenie szeregu. Gdy wszyscy mają co potrzeba ruszamy pod „Skałę”. Tam zostawiamy bagaż i przegrupowujemy się. Powstają w sumie cztery grupy. Jedna dowodzona przez Szymona, druga przez Prezesa, trzecia przez Kojota i czwarta przez Agnieszkę. Pierwsze dwie idą dziś do Koralowej, Olsztyńskiej i Wszystkich Świętych, pozostałe trenują na skale i zjeżdżają do Studniska.

Ja znalazłam się w drugiej ekipie. Przed nami najpierw Studnisko. Zdecydowanie zjazd zapiera dech w piersiach. Mimo, że nie jadę szybko bo lina ciężko przechodzi przez rolkę (muszę ją niemal błagać by przesunęła się choć o kawałek) lina balansuje w górę i w dół jak jojo. Czuje się ten dreszcz braku

kontroli nad tym co się dzieje wokół i świadomość, że nie wszystko zależy od Ciebie. Rozglądam się wkoło i widzę otaczające mnie piękno. Coś wspaniałego! Gdy dosięgam stopami spągu wszystko znika i jest znów bezpiecznie.

Po całym dniu zmagania ze skałami udajemy się na upragniony pod namiotami nocleg. Rozstawiamy namioty i palimy ognisko jedząc kiełbaski. Ciemność wokół nas pogłębia się a wraz z nią zapada noc. My również zmęczeni kładziemy się spać.

Następnego dnia mają miejsce liczne rozszady – jedni jadą do domu, inni idą się wspinać na skały składy grup muszą więc ulec zmianie. Trafiam do grupy Agnieszki co w sumie powoduje powstanie żeńskiej grupy. Udajemy się z godzinnym opóźnieniem (wyjście miało być o 8:00) do Wszystkich Świętych a następnie do Olsztyńskiej. Marcie szybko udaje się zaporęczać Wszystkich Świętych zaś Basi na koniec bardzo dobrze idzie deporęczowanie. Nad wszystkim czujnym okiem czuwa Agnieszka. Obie jaskinie tworzą zwartą całość, więc przejście między jedną a drugą odbywa się pod ziemią. Wejście do Olsztyńskiej rozpoczyna zacisk. Nie jest on taki zły, ale trzeba wyrównać oddech i popatrzeć jak biegnie ścieżka zanim pójdzie się dalej, bo potem nie można odwrócić głowy dopóki nie przejdzie się całego około dwumetrowego wąskiego odcinka. Potem trochę czołgania tu

i tam i finalnie możemy stanąć na własne nogi i ujrzeć światło dzienne. Dalej czeka nas szybka wizyta w Koralowej i zbieramy się pod skałą. Przebieramy w czyste ubrania (albo i nie) i czekamy na wszystkie grupy. Gdy pod skałę dociera ostatnia grupa zbieramy się na parking gdzie nieco ponad dobę wcześniej robiliśmy desant. Teraz cały cykl zmienia kolejność. Oddajemy sprzęt i liczymy karabinki kompletując zestawy sprzętu. Gdy wszystko skompletowane jedziemy do domu!

Magdalena Szpunt

Wojcieszów 22-23.03.2014 III wyjazd kursowy

Źródło:

<http://sgw.wroc.pl/2014/04/wojcieszow-03-2014-pierwsze-jaskinie/>

Zdjęcia: Paweł Graczyk – pawelgraczyk.pl



Po przyjeździe na miejsce (do chatki w Wojcieszowie użyczonej nam przez Speleoklub Bobry Żagań) dość sprawnie rozpakowaliśmy bagaże i przygotowaliśmy się do wyjścia w teren. Oczywiście nie obyło się bez małego zamieszania i tego kto w jakiej jest grupie, kto nie przyjechał, a kto zapomniał

jak się nazywa. Parę minut po godzinie dziewiątej podzieleni na grupy, zwarci i gotowi wyruszyliśmy z instruktorami w plener. Pogoda nie była najgorsza – nie padało i nie zdmuchiwało nam czapek z głów, więc można by powiedzieć „czego więcej chcieć?”. W planach były następujące jaskinie: Szczelina Wojcieszowska, Aven w Połomie, Nowa, Błotna (Pierwszomajowa), Imieninowa, Północna Duża oraz Północna Mała. Po zdobyciu pierwszych w naszym życiu jaskiń i doznaniu szeregu niesamowitych emocji, wróciliśmy zmęczeni, ale jakże zadowoleni (!) do bazy noclegowej. Tam zaczęła się biesiada. Rozmów nie było końca tak jak i tematów. Co chwilę tylko jakby mniej biesiadników zostawało przy wspólnym stole i tak nie wiedzieć kiedy, biesiada dobiegła końca a wszyscy posnęli w (nie?)swoich śpiworkach.



Kolejny dzień zaczął się równie szybko jak poprzedni. Szybkie śniadanie i wymarsz w kolejne jaskinie jako, że nie wszystkie grupy były we wszystkich jaskiniach w dniu poprzednim. Po

powrocie jak zwykle zmęczeni i jak zwykle zadowoleni szykowaliśmy się do wyjazdu. Zamiatanie i zmywanie, odkurzenie i sprzątanie trwały na całego. Tak oto stawiliśmy czoła naszym pierwszym jaskiniom – naszym lękom, obawom, strachom. Część z nich została pokonana, a część czeka na kolejne starcie. Czy w ogóle uda nam się kiedykolwiek pokonać cały znajdujący się w nas strach?

Magdalena Szpunt



Weekend w Wojcieszowie

01.2014

Źródło:

<http://sgw.wroc.pl/2014/02/weekend-w-wojcieszowie-01-2014/>

Drugi wyjazd kursowy miał miejsce w Wojcieszowie. Był to najzimniejszy weekend tej zimy, chociaż potocznie uważa się, że zimy w tym roku nie było. Niemniej jednak temperatura o 8.00 rano pierwszego dnia wynosiła -14°C . Aby nie tracić czasu, spotkaliśmy się od razu na miejscu – pod nieczynnym kamieniołomem Gruszka. Po rozdaniu sprzętu, część osób od razu ubrała uprząż, zgarnęła szpeje z linami i udała się na górę, aby przygotować drogi dla reszty. Pozostali zajęli się drugim obowiązkowym elementem ćwiczeń – ogniskiem, bez którego ciężko byłoby przeżyć w takich warunkach. Prawie do zmroku ćwiczyliśmy przepinki, poręczowanie i deporęczowanie, raz po raz schodząc rozgrzać zmarznięte ręce przy ognisku lub upiec kiełbaskę.



W bazie niestety nie dane nam było odpocząć. Po rozpakowaniu i posileniu się, zarządzono ćwiczenia z węzłów. Nie pomogło śpiewane w nieskończoność 'sto lat' jako odpowiedź na pytania 'kto przyniesie liny?', 'czy są już wszyscy?', 'zaczynamy?'. Instruktorzy byli nieugięci. Oczywiście ćwiczenia wyszły nam na dobre, bo okazało się, że nie znamy wszystkich wad i zalet każdego węzła, a nie każdy węzeł, który wygląda jak motyl, jest motylem! Później nastąpił ciąg dalszy integracji i rekreacji, w trakcie których mogliśmy m.in. obejrzeć filmy zrealizowane przez kolegów z Klubu.



Kolejny dzień, również przeznaczony na ćwiczenia, zaczął się wcześniej, chociaż później niż planowano. Po dotarciu na kamieniołom okazało się, że pogoda nam sprzyja. Ściana, na której ćwiczyliśmy, skąpana była w słońcu. Tym razem proporcje osób stojących przy ognisku i wiszących na linach, zmieniły się. Ognisko nie dawało tyle ciepła, co promienie słoneczne, więc tym chętniej ubraliśmy uprząż, sprzęt i ruszyliśmy do góry, aby ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć..

Wielkie dzięki dla instruktorów i nie-instruktorów z Klubu za pomoc, czasem zmuszanie, bycie 'łożą szyderców', za rady i instrukcje, za wybranie najzimniejszego weekendu sezonu, ale i marznięcie razem z nami! Z niecierpliwością czekamy na kolejny wyjazd, tym razem w głąb ziemi!

Marta Buderecka



Relacja z Marianówki (XII 2013) autorstwa Magdałeny

Źródło:

<http://sgw.wroc.pl/2013/12/pierwszy-wyjazd-kursowy-marianowka13/>

Do Marianówki zjeżdżaliśmy się stopniowo, samochód po samochodzie już od ósmej rano w sobotę 14 grudnia. Miejsce przed domkiem znikało coraz to szybciej a krzaki uginały się pod ciężarem samochodów. Wszędzie wokół życie jak gdyby stanęło przyprószone białą pierzyną. Nieustający wiatr i chłód

przypominał nam, że jesteśmy w górach. W oczekiwaniu na rozpoczęcie działań i przybycie kadry szkoleniowej udaliśmy się w poszukiwaniu sławetnej skały, na której zapowiadał się jutrzejszy trening. Oczywiście biorąc sobie do serca głęboko przysłówie „kto drogę do domu skraca ten zawsze później wraca” poszliśmy skrótem i wylądowaliśmy na prywatnej posiadłości z ogromnym psem. Szczęście, że właściciel był blisko i przywołał rozjuszona bestię do nogi. Gdy uszliśmy z życiem udaliśmy się drogą w głąb lasu. Po niedługiej chwili ujrzeliliśmy cel naszej podróży – skała. Oględziny nie zajęły nam długo i czym prędzej wróciliśmy do domku, który na całe szczęście okazał się już otwarty. Wszyscy rozkładał swoje rzeczy szukając miejsca na wieczorny nocleg a także badając tajemnicze zakątki domku. Oczywiście odczytaliśmy regulamin, aby każdy wiedział, które lufciki od kominka należy dokręcać, a jakie odkręcać, aby było ciepło. W pokoju noclegowym na poddaszu ugościła nas gorąca temperatura 6°C.

W międzyczasie liny w magiczny sposób rozwiesiły się same w szopie tuż obok domu. Podzieliliśmy się na dwie grupy i zabraliśmy żwawo do nauki w temperaturze około zera. Grupa, która w danym momencie nie walczyła z wiążącymi się wokół szyi linami praktykowała pod czujnym okiem doświadczanego kolegi zawiązywanie węzłów. Kominek żwawo pyrkał i zaczynało robić się ciepło. Po kilku godzinach niezmordowanego treningu nastąpiła zmiana grup, a następnie ich wymieszanie. Tak ćwiczyliśmy aż do zmroku,

a gdy on nastąpił przy sztucznym oświetleniu. Około godziny 17:00 nasi dzielni szkoleniowcy byli już zmęczeni tak samo jak ich kursanci więc wszyscy udali się na zasłużony obiadek i popitek. Po sowitym posiłku (niektórzy nawet ugotowali potrawkę z kurczaka w sosie śmietanowo pieczarkowym podawaną na ryżu) zaczęła się integracja! Gier planszowych, rozmów, uścisków, tańców, ognisk i ostrych papryczek nie było końca! Obowiązkowo został odśpiewany hymn sekcji ...Jak to po ciężkim dniu bywa wszyscy udali się na spoczynek, aby kolejnego dnia wstać pełni sił i gotowi do walki w prawdziwym terenie pełnym

niebezpieczeństw!

Magdalena Szpunt

Świnica z boku i z tyłu

Gdzie – Tatry

Kiedy – marzec 2014

Kto – Dziku & Aga

Nadarzyła się okazja, by wyskoczyć w Tatry. Bez szaleństwa, bo zaledwie na jeden dzień. Złapaliśmy z Agą za czekany i w drogę. Jeszcze zdążyliśmy tylko zarezerwować przez Internet bilety na kolejkę na Kasprowy. Tak na wszelki wypadek, bo jak pisał Stefan Wiechecki:

„Ale się pokazało, że łatwiej dostać się o czwartej po południu z Warszawy na Pragie aniżeli tu na Kasprowy. Ogonek był taki, że o dziesiątej rano sprzedawali bileta ma 4 po południu. Namysłaliśmy się chwilkę, co robić, i jakżeśmy się namysłili, sprzedawali na 6 wieczór.”

To nasz pierwszy raz, kiedy decydujemy się na takie luksusy. Ale jest zbyt mało czasu by go tracić na podejście z miasta. I tym sposobem o 8 rano stoimy już na grani. Na Kasprowym. Ubieramy raki i idziemy w kierunku Świnicy. Po wejściu na pierwszy wierzchołek wiążemy się liną i próbujemy ugryźć ostrą grań. Przed nami nie ma żadnych śladów. Wydaje się, że stoimy na niebezpiecznych nawisach. Piętrzące się przed nami

oblepione śniegiem płyty wydają się gładkie. Wracamy na turystyczny wierzchołek. Schodzimy niżej i próbujemy obejść problem od innej strony.

Po dłuższym czasie, nieco zdezorientowani wywspinaliśmy się na tej samej grani. Jednak ten moment „nie do przejścia” ominęliśmy. Później – wracając – nawet go nie zauważymy. Okaze się, że po przejściu kilku ekip w skale wyłoniły się zagłębienia a na nawisach zrobiły się ścieżki. Ale póki co jesteśmy na dziewiczej grani o poranku. Przesuwamy się okrakiem po skale niczym na koniu. Jeszcze kilka kroków i stajemy na wierzchołku.

Teraz podejmujemy decyzję by uszczypnąć nieco Orlą Percą. Nieśmiało wspominamy o przeł. Zawrat oraz o schronisku w dol. 5-ciu Stawów. Nie uda nam się to. Po paru godzinach wyszukiwania punktów do asekuracji odeszliśmy może na 150 metrów od szczytu. Zabawa przestawała być śmieszna. Zdecydowaliśmy się wracać. I poszło nam to nieporównywalnie sprawniej. Ta nasza współpraca się cały czas docierała. I nagle poczuliśmy się pewniej i bezpieczniej. Szybko wróciliśmy – tym razem od tyłu – na Świnicę. Stąd gładko nam poszło przejście tej samej grani, która rano nasz atak odparła. Późnym popołudniem zeszliśmy do Kuźnic.

Druga ekipa w tym czasie zdobyła Rysy. Usatysfakcjonowani ruszamy w kierunku Wrocławia. Wracamy już późną nocą, akurat żeby się położyć spać i rano wstać do pracy. Wymarzony weekend. To była przygoda jedna z tych, które nakręcają i zaostrzają apetyt na kolejne.

Dziku

Gerlach – Ostatnie starcie

Cel – Gerlach (2654 m n.p.m.)

Kiedy – styczeń 2014

Kto – Dzik & Tomek & Paweł & Ola & Aga & Dawid

W grudniu 2008 spróbowałem po raz pierwszy. W styczniu 2010 po raz kolejny. W styczniu 2012 nastąpiła trzecia nieudana próba. Jeszcze tej samej samej zimy, zaledwie tydzień po powrocie z Mont Blanc, jeszcze nie odzyskawszy czucia w odmrożonych palcach spróbowałem po raz czwarty. I za tym czwartym razem udało mi się stanąć na szczycie.

W styczniu 2014 ponownie znalazłem się pod Gerlachem. Bo choć sobie obiecałem, że tam nie wrócę, to Adze obiecałem coś innego. Po kilku godzinach jazdy znaleźliśmy się na Słowacji. Rano wyszliśmy z miasta i po paru godzinach znaleźliśmy się nad Batyżowieckim Stawem. Z powodu pięknej pogody postanowiliśmy pójść za ciosem i przed godziną 12-tą zrzuciliśmy plecaki i ruszyliśmy stromym podejściem w kierunku Batyżowieckiego Żlebu. Zaledwie półtorej godziny później pierwsza osoba z naszej ekipy stanęła na wierzchołku.

Była to Aga, a gdy stanęła na szczycie to ja znajdowałem się tuż pod nim. I wtedy zawróciłem. Zeszliśmy razem do podnóża góry. 3 razy szczyt się do mnie odwracał plecami. Tym razem to ja się odwróciłem od niego pierwszy. Bez satysfakcji. Nie żywię specjalnych uczuć do miejsc obwarowanych przepisami, zakazami i ludźmi, którzy tych wszystkich ograniczeń pilnują.

Gratulacje dla Agi, Tomka, Dawida, Pawła i Oli. Bo akcję zrobiliśmy zaiste partyzancką. Jak nazwał to jeden z wielu mijanych przewodników: był to styl „Z pogardą dla sprzętu”. A

my cały sprzęt mieliśmy... na dole pod kamieniem.

Również co do pory wyjścia – wyszliśmy o takiej godzinie, o jakiej przewodnicy wracają. I w tym temacie również nie uniknęliśmy z ich strony komentarzy. Nie wzięli oni jednak pod uwagę, że my nie ciągniemy za sobą klientów i wchodzimy i schodzimy ze szczytu w czasie, który im jest potrzebny by pokonać jeden żleb. I to bez znaczenia czy w górę czy w dół.

Dziku

„W tłumie hord powracających odznaczała się malowniczym uniformem i dzielną postawą Straż Górska pędząca gromady jeńców złapanych na zbrodni obrazy majestatu gór. Szli zwarci w czworobok strzelców młodzieńcy, panny i płaczące dzieci. Bardziej podejrzani szli prowadzeni na arkanach, z skrępowanymi w tył rękami. Najboleśniej postrzeleni jęczeli z tyłu, trzęsąc się na zarekwirowanych furkach.” – Andrzej Strug

Cebulowa Połana



Sobotnim popołudniem wysiadamy z busa na ługowej Polanie. Niecałe 24h temu byliśmy w Warszawie, a teraz już stoimy pod samym Pikiem Lenina. Podróż była wesoła (towarzystwo!) choć przebiegała w mało komfortowych warunkach. Gorąc, kurz i hałas z głośników. Okazuje się, że w Kirgistanie, podobnie jak w Gruzji, kierowcy busów mają tę samą, jedną płytę z przebojami – „A-a-aj lowiu lajk aj low song bejbi, pi-pi-pi-pi...”. No i oczywiście obowiązkowo popękana przednia szyba. Ciekawe jak to jest w innych azjatyckich krajach? Do tego nieustanny zapach benzyny. Kto by przypuszczał, że nie znają tu kanistrów? Chcąc zaopatrzyć się w paliwo do kuchenek udaliśmy się na stację benzynową. Paliwo lano nam do plastikowych butelek po oleju i napojach. W zależności od tego co leżało w koszu na śmieci na stacji. A nakrętki w butelkach po słonecznikowym nie trzymają za dobrze. Podróż na szczęście wytrzymały, ale w późniejszych dniach prawie 5 litrów posz-ło! – w lodowiec.

Na polanę dojeżdżamy w nieco niewyraźnym stanie. Popijając ciepły płyn z wymieszanych butelek nie potrafimy już odróżnić w smaku, czy jest to woda czy benzyna.



fot. T.Brodziak



fot. J.Jóźwicki

Przed jurta czeka Pani Ainura., właścicielka agencji turystycznej Fortune Tour. Jej Base Camp (obóz bazowy) jest na polanie najdalej wysuniętą w kierunku gór bazą. Ainura to miła i uczciwa kobieta, która większość tu ogarnia z pomocą babć i kilku córek. Ogólnie jest to rodzinny interes i wg mnie jest to ich przewaga nad komercyjnymi mołochami.

Po wypakowaniu z busa decydujemy się zjeść serwowany tu lokalny obiad z deserem. Mięsna, tłusta zupa, ryż, cukierki, arbuz, zielona herbata. Po napełnieniu brzuchów kładziemy się

na podłodze w jurcie spać. Oczywiście nie zapominamy o zażyciu lekarstwa na żołądek. Setunia wódki po posiłku to tani i skuteczny środek na azjatycką florę bakteryjną.



Setka zrobiła swoje i na drugi dzień czujemy się bardzo dobrze. Postanawiamy ruszyć za ciosem i wynieść część sprzętu do C1 (obóz 1.) na wysokość 4400 m. O 11-tej wychodzimy w składzie: Tomek, Aga i Dzik. Dziś Paweł zostaje w

rozstawionym obok jurt namiocie. Ma problem z jajkami. Poprzedniego dnia włożył je do termosu i nie może wyjąć. Gdy nas nie było to nawet nagrał o tym film.

A nasza trójka pnie się z ciężkimi plecakami na Przełęcz Podróżników. A na przełęczy myślimy – „jak dobrze nam idzie! To już 4140 m!”. I zaraz potem miny rzedną. Bo schodzimy stromo w dół, potem trawers, w dół, trawers, w górę, przez strumień, góra, dół, na śnieg, dość! Aga kładzie niesiony bagaż i wraca. Wyniosła kilkanaście kg na lodowiec na wysokość ponad 4300 m. W dodatku robiła to w polarze, kapelusiku i sandałach. Potem ją za ten ubiór nieco opieprzę, ale ogólnie – szacun. Zabieramy z Tomkiem co zostało i przechodzimy ostatni odcinek. Zaczyna sypać mokry śnieg.





fol. J. Józwicki

Do C1 wchodzimy późno. Wita nas Kolia – prawa ręka Ainury na tych wysokościach. Często nas herbatą. Całe szczęście, bo potrzebowaliśmy tego. Zostawiamy ciężary i pędzimy z powrotem. Pojawia się mgła a śnieg zamienia się w deszcz. Wkrótce przemoczeni i zmarznięci znów pokonujemy zejścia, podejścia i trawersy. W drodze na Przełęcz Podróżników już czuję, że się w trasie nie rozgrzeję. Nie pomaga szybkie tempo. Narzekam na szlak i warunki. Mogę psioczyć za dwóch, bo Tomek nigdy nie narzeka. Mam wrażenie, że na mojego partnera mogłaby spaść lawina kamieni i by nie marudził. Co najwyżej – leżąc przysypany rzuciłby – „Ja pitole...”.

Ale oto drapiemy się na Przełęcz. Teraz tylko po błocie i kamieniach w dół. Wypadamy na polanę i deptając cebulę maszerujemy do majaczących w oddali jurt. Jeszcze 15 minut? Nie, zejdzcie dłużej. 20? 30? Ależ się ta trasa dłuży! Dodatkowo od paru godzin martwię się, czy Aga w sandałach dotarła bezpiecznie... Tak! W zapadającym mroku widzimy czekające przed jurtą postacie. Czekają też na nas obiad!

Ściągamy mokre ciuchy, jemy, setunia i do śpiworów. Paweł ma niewyraźną minę. Okazało się, że udało się mu wyjąć jajka z termosu. I nawet były całe. I wtedy wpadła do namiotu

przemoczona Aga. Jej obuta w sandał stopa nadepnęła prosto na jajka.



tekst: **Dziku**